

# Erdman, Jan

---

## Opowiadanie prawdziwe

---

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej (1974) 20/2, 81-86

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JAN ERDMAN

## OPOWIADANIE PRAWDZIWE (1974)

Generał rzucił okiem na papiery, potem na prężącego się przed nim chłopca. — Niestety, kawalerze... Matura niczego, ale wymiary korpometryczne poniżej wymagań. Podchorąży musi mieć obwód klatki piersiowej równy połowie wzrostu, a wy nie dociągacie. Brakuje sześciu centymetrów. Proszę się zgłosić do Oficerskiej Szkoły Sanitarnej za rok, kiedy się pan rozrośnie, zmężnieje. Jeszcze zrobimy z was lekarza!

Stałem nagusienki i drżałem. Z przejęcia. I z wysiłku, bo wydymałem tę niešťczęsną klatkę, żeby pokonać 6-centymetrową przepaść, dzielącą mnie od wykształcenia medycznego. Bardzo chciałem być lekarzem, na pewno byłbym dobrym. Ale skąd wziąć pieniądze na 6 lat forsownych studiów, podczas których czasu nie staje na korepetycje lub pracę zarobkową. Studia w mundurze podchorążego rozwiązywały ten problem. Tymczasem...

Spuściłem głowę. Z nienawiścią patrzyłem na klatkę piersiową, na niezadowolającą „fizykę” No, ale przecież roku nie pozwolę sobie zabrać. Zamiast na medycynę pójdę na prawo. Cztery lata, na wykłady chodzić nie trzeba, byle tylko egzaminy odwalać.

Stuknąłem bosymi piętami, zawróciłem do szatni.

Tak dokonał się wybór mego wykształcenia. Doczekałem się dyplomu magistra prawa i nauk politycznych (indeks nr 17896), ale potem omijałem legalną dziedzinę z daleka. Wybrałem inne zajęcie: dziennikarstwo i w zawodzie tym wytrwałem — z wojenną przerwą — 46 lat. Byłem sprawozdawcą i publicystą sportowym, reporterem miejskim, korespondentem zagranicznym, attaché prasowym przy Ambasadzie RP, autorem tekstów radiowych, redaktorem dwutygodnika „Polska” (wychodzącego w ZSRR), dwutygodnika „Polish Facts and Figures” (wychodzącego w Nowym Jorku) i miesięcznika „Ameryka” (wydanie polskie), redagowanego w Waszyngtonie i od 1959 roku kolportowanego w Polsce.

Rekapitulacja całej działalności zawodowej wymagałaby zbyt wielkiej cierpliwości czytelnika, więc zajmijmy się tylko jej początkiem, bo to chyba najbardziej pouczające.

Ojciec mój zmarł w 1926 roku. Miałem 20 lat, zaczynałem trzeci rok prawa, miałem trzy młodsze od siebie siostry. Dorabianie korepetycjami nie mogło już wystarczyć, należało obejrzeć się za stałą pracą. Ktoś wspomniał, że w urzędzie pocztowym Warszawa 2 można się dostać do sortowni na nocną zmianę. To mi odpowiadało — lubiłem pracę nocną. W redakcjach znany byłbym jako nocny Marek, bo zasiadałem do biurka po północy. Nawet w tej chwili siedzę przy gwiazdach, choć jako emeryt nie mam żadnych obowiązków, więc powinienem „zachowywać się wreszcie jak normalny człowiek” (cytata z kazania żony, niewiasty świętej, choć dobroć jej jest większa niż cierpliwość). Więc zbierałem się już do skoku na sortownię, ale przypadek zrządził, że nim dotarłem do Warszawy 2 na Chmielną, dostałem zajęcie na Mokotowskiej 14, pierwszy dom od placu Zbawiciela. Tam mieścił

się PAT. Jako czytelnik „Kuriera Warszawskiego” wiedziałem, że literki te oznaczają Polską Agencję Telegraficzną, ale nic więcej.

— Chcesz być w Pacie referentem prowincjonalnym? — spytał kolega. Podleciało mi to, ale nie wezmę, bo przenoszę się do Krakowa.

— A co miałbym referować?

— To tylko takie zaszeregowanie, bo naprawdę referenci nazywani są „wyjca-mi”. Robota prosta: otrzymujesz plik depesz i musisz je przetelefonować do oddziałów PAT-a — Kraków, Lwów, Katowice, Poznań, Bydgoszcz, Wilno. Na drugim końcu siedzi stenograf, zapisuje i wydaje serwis dla dzienników w swoim zasięgu. Kapujesz?

— I to wszystko?

— Wszystkie. Praca wieczorna, nieźle płacą, stosunki przyjemne.

Więc zostałem „wyjcem”. Nie odważyłem się zaliczyć tego zajęcia do prac dziennikarskich, ale w każdym razie była to moja pierwsza współpraca z prasą. Dlaczego nie urwała się po trzech dniach — nie rozumiem. Byłem najgorszym kandydatem do takiej roboty, bo od dzieciństwa nie wymawiam „r”. Tam, gdzie trzeba rolować, warczeć, burczeć czy ryczeć, tam wydaję głuchy szczęk zębami. Co tu owijać w bawełnę: jestem maszyną do pisania z wyłamany klawiszem. Kiedy w zastępstwie chorego kolegi nadałem przez radio PAT-a cedulę giełdową, pięciominutowy mój występ wywołał żywiołowy odzew. Do Polskiego Radia nadeszło kilkadziesiąt listów.

— Co to za facet? Skąd wyście go wydostali? Podetnijcie mu język!

Ale ze stenografami nie miałem kłopotów. Tekst odbierali dobrze, czasem tylko pytając:

— Panie Janie, czy te „łypać” pisze się na początku jak Roman, czy jak Łucja?

W „Pacie” poznałem „starszego wyjca” Wacława Sikorskiego, który był naprawdę dziennikarzem, bo prowadził dział sportowy w „Przeglądzie Wieczornym”. Był to człowiek gołębiego serca, wielkiego taktu i potoczystego stylu, więc stał się filarem PAT-a i prezesem Związku Dziennikarzy i Publicystów Sportowych RP. Kombinacja tych zalet nie zostawiała już miejsca na cechę, która dziennikarzowi przydaje się niemal codziennie — na wyobraźnię.

Tymczasem jego zwierzchnik Jerzy Wiewiórski, jeden z ówczesnych redaktorów „Przeglądu Wieczornego” i „Kuriera Porannego”, upierał się, że do obowiązków sprawozdawcy sportowego należy również zaopatrywanie dowcipnym tekstem zdjęć, jakie ukazywały się na ostatniej stronie, obok rubryki sportowej. Były to przeważnie ilustracje dostarczane przez serwis fotograficzny agencji zagranicznych, a więc z objaśnieniami po niemiecku, francusku, angielsku lub włosku. Wacio znał francuski, z niemieckim sobie jakoś radził, a przy innych tekstach posługiwał się łaciną.

Czekając kiedyś na połączenie z oddziałem zobaczyłem, że się męczy nad zdjęciem szczęściu zgrabnych dziewczyn na florydzkiej plaży.

— Mogę to zrobić — powiedziałem skromnie.

— Angielski pan zna?

— Nie. Ale znam się na panienkach.

I napisałem jakąś duperelę, która się Waciovi bardzo podobała. Od tego czasu nie mogłem się opędzić przed zamówieniami i każdą wolną chwilę między dyktan-dem telefonicznym spędzałem na wymyślaniu tych bzdur.

Tak nieefektywnie zaczęła się moja terminatorka w rzemiośle dziennikarskim. Od tego czasu stałem się wiernym czytelnikiem „Przeglądu Wieczornego”. Z przejęciem i niepewnością czekałem na każdy numer i rozpoczynałem czytanie od ostatniej strony. Sprawdzałem, jak wyszło zdjęcie, czy redakcja zmieniła tytuł (często zmieniała) i czy wprowadziła poprawki do tekstu (przeważnie nie wprowadzała). Było to szkolenie przywarształowe, poza tym jestem samoukiem i do żadnej szkoły dziennikarskiej nigdy nie uczęszczałem.

Dalej wszystko już poszło normalnym trybem promocji i awansów. Sikorski miał urlop — zastąpiłem go w prowadzeniu kroniki sportowej. Dr Stanisław Mielech, kierownik wielkiego działu sportowego w „Kurierze Porannym”, jechał na kurację do Rajczy — zwrócił się do mnie o czasowe objęcie jego stanowiska. Redakcja tygodnika sportowego „Stadion” szukała stałego współpracownika — znalazłem się na liście kandydatów. Przyjąłem propozycję red. Jerzego Misińskiego z radością. „Stadion” miał wspaniałą przeszłość, górował jak Mont Blanc nad tymi wszystkimi efemerydami prasowymi, jakie były w kioskach. Każdy tygodnik prześcigał się w opisach rozgrywek piłkarskich o mistrzostwo A i B klasy, a tylko „Stadion” otwierał szersze horyzonty, zrywał z zaściankiem, wnosił oddech europejski, wprowadzał sport polski do obiegu światowego.

Była to zasługa pierwszego redaktora, ppłk. dra Władysława Osmolskiego, a w jeszcze większej mierze dwu czołowych współpracowników: Wiktora Junoszy-Dąbrowskiego i Tadeusza Semadeniego. Cała ówczesna Polska sportowa zaczytywała się w ich sprawozdaniach z VIII Olimpiady w Paryżu. Prasa codzienna, rozpaczliwie obsługiwana przez nie mających pojęcia o sporcie redaktorów PAT-a, podawała wiadomości błędne, bałamutne albo niepełne. Wszystko to można było sobie uporzędkować i uzupełnić przez nabycie „Stadionu”: każdy przedbieg był opisany wraz z wyjaśnieniem, dlaczego polscy zawodnicy zajęli w nim przedostatnie miejsce.

Rekordy olimpijskie i światowe padały co pół strony. Były to czasy Paddocka, Abrahamsa, Osborna, Johnny Weissmuellera, Arne Borga i Charltona, a przede wszystkim imponującej drużyny fińskich długodystansowców z Nurmim i Ritolą na czele. Opisy były szczegółowe, tygodnik niezbyt pomieściwy, więc choć Igrzyska skończyły się w lipcu, sprawozdania czytaliśmy jeszcze we wrześniu, a bodaj i październiku. Nikt na to nie narzekał, nie dlatego, że nie chciał dowiedzieć się jak najprędzej o tych wspaniałych urugwajskich piłkarzach, ale dlatego, że nie istniało szybsze źródło informacji.

Żeby uprzytomnić, jak błyskawicznie rozwija się w naszych czasach telekomunikacja, wystarczy powiedzieć, że obsługę „Przeglądu Sportowego” z X Olimpiady (1932) w Los Angeles prowadziłem też głównie listami. Korespondencje szły samolotami poprzez kontynent amerykański do Nowego Jorku. Tu otrzymywał je nasz korespondent, wybierał najbliższy i najszybszy statek idący do Europy i nim ekspediował przesyłkę do Warszawy. Podróż taka trwała około dwóch tygodni. Komunikacji lotniczej przez Atlantyk jeszcze nie było — przecież dopiero na 5 lat przed tą Olimpiadą Lindbergh udowodnił, że awangardę postępu technicznego stanowią awanturnicy i szaleńcy.

Wszem, w Los Angeles miałem upoważnienie do nadawania depesz radiowych, ale gdzieś w połowie Igrzysk „Dom Prasy”, wydawnictwo macierzyste „Przeglądu”, zawiadomił mnie, że dalszych telegramów nie będzie już akceptował, bo przedsiębiorstwu grozi bankructwo i ruina.

Na szczęście, zdążyłem już nadać jako pierwszy dziennikarz obszerną depezę o zwycięstwie Janusza Kusocińskiego na 10 km. Mając własny stoper nie czekałem na ogłoszenie orzeczenia sędziów: zaraz po przerwaniu taśmy przetelegrafowałem wiadomość o zwycięstwie w czasie 30 : 12 i o pobiciu rekordu olimpijskiego Nurmiego. Pomimo 9 godzin różnicy czasu depeza przysłała przed zamknięciem numeru „Przeglądu” i „Expresu Porannego”. Wracając z urzędu telegraficznego zobaczyłem na tablicy oficjalny wynik — 30 : 11,4. Po drodze ukłoniłem się grzecznie konkurencji: Kazimiera Muszałówna (PAT) stanowiła „lepszą połowę” polskiej obsady prasowej na tej Olimpiadzie.

Wspomnienia cisną się beładnie, depczą chronologię. Teraz dopiero łapię się na tym, że nie opowiedziałem, w jaki sposób znalazłem się w „Przeglądzie Sportowym”, a to zwrotny moment w moim życiu. Zacznijmy od podmalowania tła.

W połowie 1926 roku nastąpił w prasie sportowej przewrót. Dynamiczne wy-

dawnictwo „Prasa Polska” (późniejsza nazwa „Dom Prasy”, ale przedtem i potem wszyscy zwali go „prasą czerwoną”, bo tytuły pism były drukowane czerwoną farbą), które szturmem zdobyło publiczność warszawską bulwarowymi dziennikami „Kurier Czerwony” i „Express Poranny”, postanowiło wydać także pismo sportowe. Zakupiono dychawiczny tygodnik, który właśnie niedawno przeniósł się z Krakowa do Warszawy. Poza tytułem nowe wydawnictwo przyjęło dwóch stałych współpracowników: dobrego organizatora i doświadczonego dziennikarza Mariana Strzeleckiego oraz Jerzego Grabowskiego, dziennikarza lotnego i nieprzeciętnego stylistę, a poza tym czarusia pod względem towarzyskim; obaj oni wyrosli ze środowiska piłkarskiego. Ta para dokooptowała Stanisława Rotherta, doskonałego sprintera, pilnego czytelnika prasy zagranicznej, inteligentnego obserwatora, mającego dar docierania do sedna zagadnienia i świetne pomysły. Nabytek okazał się wartościowy: dzięki pracowitości i przywiązaniu do pisma Rother stał się w latach trzydziestych szarą eminencją „Przeglądu”. Minusem tego zespołu było to, że wszyscy jego członkowie należeli do klubu „Polonia” co w warunkach ostrej rywalizacji z „Warszawianką” i „Legią” nadawało pozory organu klubowego.

Podjeżenia te rozprasała postać redaktora naczelnego. Kazimierz Wierzyński zstąpił do „Przeglądu” prosto ze swego poetyckiego Olimpu. Kto go zwerbował — nie pamiętam. Wiem tylko, że w „prasie czerwonej” zajmował się przez pewien czas wymyślaniem wielopiętrowych tytułów, zwykle przesadnych, czasem zabawnych lub dwuznacznych, ale zawsze budzących zaciekawienie czytelnika. Prawdopodobnie zbiór wierszy *Laur olimpijski* (złoty medal w Amsterdamie), apoteoza ruchu, odwagi i wysiłku, podsunął wydawcom myśl powierzenia pisma sportowego poecie.

Nikt nie przewidział, co się stanie. Do prasy sportowej, tych zeszytików wypełnionych cyferkami, jałowymi sprawozdaniami i technicznymi wskazówkami, upstrzonych zdjęciami wielkości znaczka pocztowego, wdarł się tajfun. Wierzyński zmienił format pisma: skończyły się zeszytiki, narodziła gazeta z czerwoną (oczywiście) nazwą i bombowym nagłówkiem na 6 szpalt. Wielkość ilustracji zależała teraz od wartości wizualnej lub ważności imprezy: nieraz były jak taca. Tuzin tematów już na pierwszej stronie ubiegał się o uwagę czytelnika. To nie był cukierek słazowy; pismo mieniło się wieloma kolorami, było w ciągłym ruchu, w ciągłym podnieceniu, umiało zachwycać się (może nawet przesadnie) rekordem i potępiać (może nawet przesadnie) opieszalstwo, warcholstwo, pasożytnictwo. Nawet styl się zmienił: sprawozdania, a zwłaszcza artykuły, były pisane dobrą polszczyzną, a wśród nich pojawiać się zaczęły nazwiska literatów: Tristan Bernard, Rafał Malczewski, Ignacy Matuszewski, Henri de Montherlant, Ferdynand Ossendowski, J. M. Rytard, Antoni Słonimski, Jehanne Wielkopolska... Nagle gazeta sportowa stała się trójwymiarowa, nabrała kształtów i rumieńców, przybyło jej wagi, treści, pewności siebie, wymowy.

Wszystko to zainspirował, a w dużym stopniu i zrobił Wierzyński. Ci, co wspominając jego ponad pięcioletnie panowanie w „Przeglądzie” uśmiechają się pobłaźliwie i mówią: „Nic nie pisał. Robił wiatr, a pracowali inni”, przypominają mi woźnego, który zwierza się przy piwie: „A nasz minister to nic nie robi: pogada sobie z innymi ministrami, podpisze kilka papierków i już odjeżdża swoją limuzyną”.

Wkładu Wierzyńskiego nie wolno mierzyć ani czasem, jaki spędzał w redakcji, ani ilością wydrukowanych tekstów. Był przede wszystkim naszym natchnieniem. Umiał ukierunkować współpracowników, zagrać do ataku, kilkoma kreskami ożywić tekst, poprawić jego celność, wytrzebić sztampe. Bywał często na zawodach, głęboko przeżywał dobry mecz tenisowy czy piłkarski, mniej natomiast przepadał za boksem.

Sam pisał mało, to prawda. Ale kiedy uznał, że istnieje potrzeba szczególnego akcentu, zamykał się w jednym ze szklanych pokoiów na 3 piętrze „Domu Prasy”

przy ul. Marszałkowskiej 3 i godzinami wodził wiecznym piórem po papierze. Pisał, zmieniał, przekreślał, wyrzucał. Do zecerni posyłał kartki zapisane pięknym strze-listym gotykiem (nie badzo czytelnym); ostateczny tekst nie zawierał już żadnej poprawki. Logika, ujęcie, styl, słownictwo zdradzały mistrza. Każde słowo siedzia-ło jak cegła w murze: nie można było niczego usunąć, nie trzeba było niczego do-dawać. Wśród wielu zwierzchników, jakich miałem w swej karierze, najwięcej zawdzięczam uwagom i poprawkom Wierzyńskiego.

Teraz opowiem, jak trafiłem do „Przeglądu”.

W czerwcu 1928 roku zadzwonił Rothert: „Wierzyński chciałby się z panem spotkać”. Wspaniały gmach na Marszałkowskiej jeszcze nie był wykończony, więc redakcja „Przeglądu” mieściła się na Nowym Świecie 39, w podwórzowej stajni przerobionej na wydawnictwo. Pierwszych kilka pokoiów przeznaczono na redakcje pism codziennych (przy tych samych biurkach rano pichcono „Kurier Czerwony”, wieczorem „Express Poranny”), jedną klitkę zajmował „Przegląd”, w głębi dudniły maszyny. Przez pokój sportowców ciągle ktoś przelatywał: z rękopisem, z korektą, ze szcztokową odbitką kolumny. Przez otwarte drzwi słychać było, jak reporter telefonicznie indagował przodownika policji. Żadnych wolnych krzeseł, ani kawałka miejsca przy stołach. Rozmawialiśmy na stojąco.

— Panie, co pan robi w tym „Stadionie”! Przecież to straszne pismo. „W 10 minucie Jabłkowski przejął centrę Birnbauma i strzelił bramkę Domańskiemu...” Mle—mle, ple—ple. Tego czytać nie można! Owszem, przeglądam, ale mi nie smakuje: kurz, pajęczyna, trociny. Jedyne kąciak, gdzie widać jakąś iskierkę, jakieś życie, to pański felieton. Jak go pan nazwał? „Z tygodnia”? Tytuł niedobry, wytarty. I podpisuje pan dziwnie. Co znaczy (je)? Wiem, że inicjały, ale skrót nasuwa nieskromne skojarzenia. Niech pan to zmieni. A najlepiej: niech pan przyjdzie do nas. Tu jest życie, tu jest pole do popisu, stąd można trząść światem! Dobrze? Ile panu płacą? Dziesięć? No, to dostanie pan 15 groszy od wiersza, a wiersz mamy krótki.

Nim zdążyłem kiwnąć głową, Rothert złapał mnie za łokieć.

— Dziś zamykamy numer, a z Amsterdamu korespondencja nie nadeszła. Pan rozumie: na tydzień przed amsterdamską Olimpiadą! Proszę o pomoc: tu jest nu-mer szwajcarskiego „Sportu” i berlińskiej „B.Z. am Mittag”. Materiału moc. Niech pan przrzygądzi w ciągu godziny korespondencję własną z Amsterdamu.

Przycupnąłem na taborecie, napisałem. Wierzyński przejrzał zwrócił się o ja-kieś wyjaśnienie, po namyśle usunął jeden przecinek.

— Arcydzieło! — zawołał. (U Wierzyńskiego wszystko było albo arcydzieło, albo gówno.) — Panie Kunowski, najlepszy metrapaży Rzeczypospolitej! Przyj-mij pod opiekę ten skarb, ten bezcenny rękopis i każ go złożyć na dwóch maszyn-kach. Pójdzie na sześć szpalt na pierwszą kolumnę!

Tak się zaczęło z „Przeglądem”. W 1931 roku zostałem współpracownikiem pism codziennych „Domu Prasy”. Pisałem przeważnie o innych sprawach niż sport, ale ze sportem nie wziąłem rozbratu. Wydawało mi się rzeczą normalną, żeby intere-sować się nie tylko rekordem w skoku wzwyż, ale także powieścią Choromańskiego i nie tylko cedułą ligową, lecz także cedułą wskaźników gospodarczych. Dzięki temu menu zawodowe miałem urozmaicone: Olimpiada w Los Angeles i Berlinie (1936), konferencja monachijska (1938), wojna domowa w Hiszpanii (1936), mecz Schme-ling — Louis o mistrzostwo świata wszechwag (1938), mistrzostwa bokserskie Euro-py w Mediolanie i Dublinie, kilka wyścigów dookoła Polski, plebiscyt w Saarze (1935). W tragicznym 1939 roku byłem świadkiem zajęcia Czechosłowacji przez hitlerowców, napisałem cykl reportaży z Litwy, z chwiałącego się w posadach Gdańska i wykryłem w Królewcu niemiecko-polski słownik dla żołnierzy („Ręce do góry! Dawaj kurę!”). A jednocześnie na cztery dni przed wojną opisywałem zwy-cięstwo Polski nad piłkarzami Węgier.

W dziennikarstwie sportowym do najwybitniejszych swoich osiągnięć zaliczam:

— wysłanie za pośrednictwem telekomunikacji radiowej pierwszej w dziejach dziennikarstwa polskiego fotografii prasowej (przedstawiała defiladę reprezentacji polskiej na otwarciu Igrzysk w Berlinie);

— pierwszy sportowy proces sądowy: zarzucono mi sfałszowanie wywiadu z zawodnikiem. Proces wygrałem, udowadniając ścisłość przytoczonych cytata i wiarygodność słowa dziennikarskiego;

— przyznanie mi w 1938 roku przez Zw. Dziennikarzy i Publicystów Sportowych RP „Złotego Pióra” (zgubiłem je w Tobruku) za całokształt działalności. Nagrodę tę nadano wtedy po raz pierwszy i przed wojną jedyny.

Tematy z początku podsuwała redakcja, potem wybierałem sam. Byłem zaprzeczeniem specjalisty, także w sporcie: pisałem o piłce nożnej, boksie, lekkiej atletyce, tenisie, wioślarstwie, szermierce, hokeju, kolarstwie. Kolarstwu poświęciłem specjalną uwagę. Nie dlatego, żebym ten sport bardziej lubił, ale ponieważ chciałem go uporządkować i zmodernizować. To mi się nie udało. Dopiero w wiele lat po wojnie kolarstwo wzniosło się na przyzwoity poziom.

Czy znałem się na tych wszystkich sportach? O każdym miałem pojęcie, niektóre po frajersku uprawiałem (jako student miałem ambicje tenisowe, zapisałem się do Legii, ale nie wpuszczono mnie na korty, bo nie miałem białych spodni), w żadnym nie byłem zawodnikiem. To był *handicap*, z jego pokonania jestem dumny.

Nie ulega wątpliwości, że ideałem jest dobry zawodnik, który potrafi dobrze pisać. Ale takie fenomeny nie rodzą się na każdym kamieniu. Kto robił wywiady z rekordzistami albo brał udział w preparowaniu wspomnień mistrza, ten wie, że przekazanie na papier obserwacji i przeżyć jest przeważnie ponad siły najsilniejszych, najszybszych, najrzeczniejszych ludzi. Trzeba mieć coś do powiedzenia i umieć to wyrazić.

Jeśli jako czynnik muszę dokonać wyboru między sprawozdaniem wybitnego zawodnika i wybitnego dziennikarza, zawsze wybiorę fachowca od pisania. Chcę *per procura* być na boisku, przeżywać walkę, a potem dowiedzieć się o konsekwencjach i znaczeniu wyniku. Jeśli reporter nie potrafi przekazać tych podstawowych rzeczy, niech lepiej złamie długopis. Tak przynajmniej oceniałem swoje zadanie — i z czytelnikami nigdy nie miałem na ten temat sporów.

Z zawodnikami bywało rozmaicie. Zdarzało się, że rekordzista albo działacz, albo — rzadziej — trener przychodził z pretensją, że wystawiłem mu krzywdzącą ocenę. Jeśli potrafił to uzasadnić, uznawałem swój błąd. Jeśli zaś dochodziłem do przekonania, że jest to tylko uczulenie na krytykę (90% przypadków), nie miałem trudności z przeciwstawieniem mu autorytetu lepszego zawodnika czy bardziej renomowanego znawcy. Jest to licytacja bezsensowna, ale czasem nieunikniona.

Powiedzmy wyraźnie: byłem kibicem urzeczonym przez sport. Pisałem dla innych kibiców, którzy chcą wiedzieć, co się działo i jak się działo. Kto szuka wskazówek, jak wykonać przekładankę przy rzucie oszczepem, ten powinien zafundować sobie podręcznik, a nie gazetę. Jakiś podział pracy musi istnieć, nie?

Jestem wdzięczny sportowi, dostarczył mi niezapomnianych przeżyć. Staralem się dzielić nimi z czytelnikiem.